



**Bronisław Łagowski**

**DUCH I BEZDUSZNOŚĆ  
III RZECZYPOSPOLITEJ**

**universitas**

**DUCH I BEZDUSZNOŚĆ  
III RZECZYPOSPOLITEJ**



**Bronisław Łagowski**

**DUCH I BEZDUSZNOŚĆ  
III RZECZYPOSPOLITEJ**

**ROZWAŻANIA**

**Kraków**

© Copyright by Bronisław Łagowski and Towarzystwo Autorów  
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011, 2021  
Wydanie II

ISBN 978-83-242-3733-3  
e-ISBN 978-83-242-1935-3  
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne  
*Jerzy Lohman*

Na okładce  
Pieter Bruegel, *Ślepcy*, 1568, Museo di Capodimonte, Neapol

[www.universitas.com.pl](http://www.universitas.com.pl)

## SPIS TREŚCI

Od redakcji . . . . .	XI
Słowo wstępne . . . . .	XIII

### 1

#### Obyczaje

Najwyższe stadium korupcji . . . . .	3
O winie narodowej . . . . .	6
Obrona konieczna przed agresją akustyczną . . . . .	10
Perwersja . . . . .	13
Przeszłość jest to dziś... . . . . .	16
Molestowanie seksualne społeczeństwa . . . . .	19
Moralna maczuga . . . . .	22
Dobry człowiek na złej posadzie . . . . .	25
Przywilej czwartej władzy: kłamstwo . . . . .	28
Choroba wściekłych mediów . . . . .	31
Czy warto być sobą? . . . . .	34
Kraina ponurych Szwejków . . . . .	37
Odwaga i sekret . . . . .	40
Ruszamy do działania . . . . .	43
Żadnych tajemnic . . . . .	46
Wielkie szczucie . . . . .	49
Prawo w chmurach i na ziemi . . . . .	52
Władza sykofantów . . . . .	55
Uwsteczniczenie moralne . . . . .	58
Nieuważność . . . . .	62
Gruba skóra . . . . .	65
Zarozumiałstwo . . . . .	68
Nagonka . . . . .	71
Terror po polsku . . . . .	75
Świątynia Pamięci Narodowej . . . . .	79
Obłuda . . . . .	83
Jeden drugiemu w sumienie włącznie . . . . .	86
Ciemności europejskie . . . . .	89

### 2

#### Polityka

Jak być konserwatywno-liberalną socjaldemokracją . . . . .	95
Reprywatyzacja czyli rewolucja przeciwnie skierowana . . . . .	98

Zderzenie cywilizacyjne i przyszłość ziem zachodnich . . . . .	101
Wsteczne prawo . . . . .	105
Lanzmann o wojnie . . . . .	108
Chwiejnie na temat protektoratu . . . . .	111
Przekleści Serbowie . . . . .	114
Lewicowy konserwatyzm . . . . .	117
Don Kichot reprivatyzuje . . . . .	120
Skłonić do realizmu . . . . .	123
Dobrodziejstwo opóźnienia . . . . .	126
O pamięci . . . . .	129
Wdzięczność . . . . .	133
O ludowcach . . . . .	136
Ocet . . . . .	140
Trzeźwienie . . . . .	143
Ruszyć głową . . . . .	146
Do uczniów Giedroycia . . . . .	149
W Chinach, czyli nigdzie . . . . .	152
Kocia muzyka . . . . .	155
W jakim kraju żyjemy? . . . . .	158
Wytrych do Urbana . . . . .	161
Wojna czysta . . . . .	165
Tyrania trybu postulatycznego . . . . .	168
Nic tylko media . . . . .	171
Negacje . . . . .	174
Myśl stoi w miejscu . . . . .	178
O podatku i komu on służy . . . . .	182
Wypędzenie, czyli mniejsze zło . . . . .	185
Wielka historia czy wielka pomyłka? . . . . .	189
Ostrzeżenia i zachęty . . . . .	192
Liberalizm? Źle się kojarzy . . . . .	195
Prezydent Klaus ma rację . . . . .	198
Zmienność pojęć . . . . .	201
Rozczarowanie . . . . .	204
W obliczu przedwczesnego końca . . . . .	207
Czekanie na przełom . . . . .	211
Nieodpowiedzialność . . . . .	214
Anarchia na górze . . . . .	218
Polskie logos i etos . . . . .	222
„Kraj nasz i wasz” . . . . .	225
Apologia spóźniona lub przedwczesna . . . . .	228
Kto nas reprezentuje? . . . . .	231
Anarchia silnej ręki . . . . .	234

Tożsamość i nijakość . . . . .	237
Anachronizm żyje i walczy . . . . .	240
Nowa jakość? . . . . .	243
Entuzjazm psucia . . . . .	247
Nadpobudliwość . . . . .	250
Ucieczka przed nudą . . . . .	253

3

Polska – Rosja – Ukraina

Życ w prawdzie czy manipulować prawdą? . . . . .	259
Czy można wypowiadać naród? . . . . .	262
Niehamowane emocje . . . . .	265
Żartobliwa polityka zagraniczna . . . . .	268
Życzenia i fakty . . . . .	272
Rosja prozachodnia . . . . .	276
Nowe miejsce Rosji . . . . .	279
Odszkodowania . . . . .	282
Cmentarze i pomniki . . . . .	285
Akcja „Wisła” była słuszna . . . . .	288
Wielka historia . . . . .	292
Czeczeńskie manowce . . . . .	295
Sprawa polska i rosyjska . . . . .	299
Oszłomienie . . . . .	307
Czecenofilia . . . . .	311
Strefa nieważkości . . . . .	314
Samozatrucie Polski . . . . .	318
52 procent Ukrainy . . . . .	322
Małe sprostowanie do wielkich błędów . . . . .	325
Precz z Jałtą . . . . .	328
Parcie na Wschód . . . . .	332
Papuga chce uczyć . . . . .	335

4

Narody i mity

Chiny i chińskie cienie . . . . .	341
Bohaterszczyzna u władzy . . . . .	344
Nieustające rozliczenia . . . . .	347
Szewach Weiss . . . . .	350



## Historia najnowsza

Generał i dysydent . . . . .	355
Drugie kłamstwo katyńskie . . . . .	358
Postradzieccy kosmopolici? . . . . .	361
Nieprzyjemne uwagi rocznicowe . . . . .	364
Refleksje na 11 listopada . . . . .	367
Polowanie z nagonką . . . . .	370
Kreowanie pamięci . . . . .	373
Sprawiedliwe i nieprawdziwe . . . . .	377
Ta zbrodnia była realna . . . . .	380
Pamiętniki Ronikiera . . . . .	384
Demokratyczny książę . . . . .	388
Wolność płodna i bezpłodna . . . . .	392
W osiemdziesiąt rocznicę . . . . .	395
Spór o ducha Europy . . . . .	398
Bękart jałtański . . . . .	401
Względność . . . . .	404
Co o tym myśleć? . . . . .	408
Plemię Herero . . . . .	411
Na dwa fronty . . . . .	415
Dziwna Europa . . . . .	420
Światowe i lokalne . . . . .	424
Co wyrosło pod Okrągłym Stołem . . . . .	428
Partia Powstania Warszawskiego . . . . .	431
Polska dyktuje pamięć historyczną Niemcom . . . . .	434
Białe plamy . . . . .	436

## Kultura

O dobry użytek z Miłosza . . . . .	441
Kogo „pokonać”? . . . . .	445
Uzdrowiciele cywilizacji . . . . .	448
O słowach . . . . .	451
O kulturze . . . . .	455
W obronie Gałczyńskiego . . . . .	459
Uniwersytet Hip-Hopu . . . . .	463
Rewizjonizm literacki . . . . .	466
Władza kultury . . . . .	469

Zauważone przy okazji . . . . .	472
Rzeczywistość idei . . . . .	476
Polityka poetów . . . . .	479
Czy można usprawiedliwić PRL? Rozmowa z prof. Bronisławem Łagowskim . . . . .	483
Nota o autorze . . . . .	490
Indeks nazwisk . . . . .	491



## Od redakcji

„Kuznica” postanowiła publikować ważne przemyslenia tych, których uważa za swych przewodników intelektualnych – najczęściej laureatów „Kowadła” i tych spośród swych członków, którzy są jej liderami. Zadanie takie powierzyła powołanemu przez siebie Instytutowi Badań Społecznych. Znalazła też zrozumienie w wydawnictwie, które samo jest Towarzystwem Autorów i Wydawców Prac Naukowych i zdobyło autorytet w bogatym i różnorodnym środowisku polskich intelektualistów.

W **Bibliotece Kuznicy** ukazały się książki profesorów – Andrzeja Walickiego i Karola Modzelewskiego. W tomie niniejszym drukujemy eseje profesora Bronisława Łagowskiego – wybitnego filozofa i historyka myśli społecznej, człowieka, który od kilkudziesięciu lat uważa za swoje jako intelektualisty zadanie również podnoszenie poziomu debaty społecznej i publikuje znaczące eseje, w latach 60. i 70. przede wszystkim w „Tygodniku Powszechnym”, w ostatnim zaś 20-leciu głównie w „Przeglądzie Tygodniowym” i „Przeglądzie”. Wybór artykułów z „Tygodnika Powszechnego” wydrukowało w 1986 r. Wydawnictwo Literackie w książce pod znamienym tytułem: **Co jest lepsze od prawdy?** Obecnie przedstawiamy czytelnikowi zbiór esejów publikowanych w latach 1997–2005 w „Przeglądzie Tygodniowym” (PT) i w „Przeglądzie” (P).

Redakcja nie ingerując w treść żadnej z rozpraw postanowiła zerwać z ich porządkiem chronologicznym, aby zgrupować je w działy tematyczne. Jest to zabieg nieco sztuczny, natura bowiem eseju publikowanego w tygodniku nie znosi szufladkowania tematów i nie pozwala unikać wielowątkowości wywodu, a także nierzadkich powtórzeń. Jednak przypisanie esejów według ich głównych wątków do określonych rozdziałów, pozwala na ułatwienie, a może i wzbogacenie odbioru tych żywych, pasjonujących i niezwykle błyskotliwych rozważań filozofa i obywatela.



## Słowo wstępne

Zacznijmy od tego, że odrzucimy wszelkie fakty – napisał Jan Jakub Rousseau – przystępując do rozważań nad przyczynami nierówności między ludźmi. Postanowiłem sobie iść za radą mniej sławnego myśliciela, według którego na początku należy odrzucić wszelkie poglądy ogólne i wystawić swój umysł na oddziaływanie faktów, godząc się spokojnie na przyjęcie wniosków, jakie z tego wynikną.

Teoretyk będzie twierdził, że między faktami a umysłem jednostki znajduje się pośrednia strefa symboliczna złożona ze słów, pojęć, mitów, gotowych ideologii i tym podobnych pośredników. Z tym trzeba się zgodzić. Ta strefa nie jest bierna; dostarcza nam pobudek do działania, a przede wszystkim sprawia, że fakty mogą nam się jawić w takiej lub innej postaci. Zdarza się, że giną one w strefie pośredniej, lecz nie na zawsze, ponieważ są uparte i przeważnie wychodzą na jaw.

Konserwatysta i rewolucjonista żyją w tym samym kraju, w tym samym mieście i bywa, że są rodzonymi braćmi. Mimo to rzeczywistość postrzegają krańcowo odmiennie. Nie wiadomo z jakiego powodu umysł jednego uwikłał się w ideologię konserwatywną, umysł drugiego w mit rewolucyjny, ale gdy już to się stało, żyją jak gdyby w obcych i wrogich sobie krajach. Bywa, że tylko jakaś siła nadrzędna potrafi przeszkodzić im w zniszczeniu się wzajemnym. Najłatwiej o zgodę tam, gdzie panuje kultura respektu dla obiektywnych faktów. Człowiek jednakże jest istotą nauczycielską, fantazjującą i poddawanie się takiej kulturze nie sprawia mu przyjemności. Nie uważam się za wyjątek od tej reguły.

W tekstach składających się na tę książkę nie odkrywam faktów, piszę o tych, które są przeważnie czytelnikowi znane w ogólnych zarysach. Chcę je tylko przedstawić w prawdziwszym świetle. Inaczej je ważę i mierzę. Punkt ciężkości spoczywa w refleksji, nie w faktografii. Pod względem emocjonalnym te refleksje były coraz smutniejsze. Zostałem tak fatalnie wychowany, nie wiem nawet przez kogo, że w centralnym miejscu mojego poglądu na świat znajdowała się Pol-

ska. Byłem więc przez większą część życia umysłowym kaleką. Zacząłem to sobie uświadamiać w miarę jak poznawałem coraz więcej cudzoziemców, zwłaszcza dotkniętych analogicznym kalectwem. Wolność odsłoniła Polskę, przez pół wieku zdeformowaną, jako naród nieprzystosowany do swojego miejsca w Europie Środkowej, na które szczęśliwym zrządzeniem sił historycznych została przesunięta po drugiej wojnie światowej. W chwilach zgorzknienia mam wrażenie, że nie staczymy się w archaizm i barbarzyństwo tylko ze wstydu przed zagranicą. Poza tym wszystko zostało przygotowane, żeby się stoczyć. Chcąc się pocieszyć, przywołuję różne sentencje: wszystko, co się zdarza, jest godne podziwu; wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne; rozum tkwi w rzeczywistości, a nie w rozumie, i podobne. Niestety, pocieszenie nie następuje. Powitałem polską kontrrewolucję z wielkimi nadziejami – entuzjazm nie leży w mojej naturze – ale też z obawą, że może ona zbroczyć w „rewolucję przeciwnie skierowaną”, to znaczy zastosować przemoc, aby zniszczyć zarówno to, co było pozytywnym osiągnięciem Polski Ludowej, jak też wiele z tego, co przyniosła liberalna kontrrewolucja Trzeciej Rzeczypospolitej. Nie obawiałem się tylko dyktatury, ponieważ ta forma polityczna nigdy się w Polsce nie przyjęła. W Polsce niebezpieczeństwem jest anarchia, która potrafi być bardziej opresyjna niż dyktatura w innych krajach. Decyzja władzy jest niezgodna z prawem? Będziemy zmieniać prawo tyle razy, aż stanie się zgodna. Prawo niezgodne z konstytucją? Zatem zmienimy konstytucję. Oto istota opresyjnej anarchii, w której silnym wolno wprowadzać ustawy, jakie im dogadzają, a słabi nie znają dnia ani godziny, kiedy mogą zostać uznani za przestępców. Zadziwia mnie, że staropolska mieszanina nieograniczonej wolności silnych i ucisku słabych, drobiazgowego ustawodawstwa i ogólnego ducha bezprawia odrodziła się w tak odmiennych warunkach, razem ze spróchniałymi mitami narodowymi i fałszywymi uczuciami, które długo przechowywane w głowach zgniły i nabrały właściwości trujących.

\*

Teksty zawarte w tej książce były pisane z zamysłem, że mają się składać na spójną całość. Czy zamysł się powiódł – nie wiem. Pierwotnie były drukowane w Przeglądzie Tygodniowym i Przeglądzie;

nie wszyscy czytelnicy uznawali je za felietony. Stanowią część tego, co opublikowałem w tych czasopismach. Za dokonanie selekcji serdecznie dziękuję panom Andrzejowi Kurzowi, prezesowi Kuźnicy, i redaktorowi Jerzemu Lohmanowi.

*Bronisław Łagowski*





# OBYCZAJE



## NAJWYŻSZE STADIUM KORUPCJI

Korupcja może przejawiać się na dwa główne sposoby: jeden pospolity, sprzeczny z prawem, jako przekupstwo i sprzedajność. O drugim zaraz powiem. Jeżeli korupcja pospolita staje się plagą społeczną, jeżeli opanowuje gospodarkę i urzędy państwowe, jeżeli wciska się do sądownictwa, policji, instytucji naukowych, partii politycznych, to dosięga także ogólnej atmosfery moralnej panującej w społeczeństwie. Wypływa z niej i na nią wpływa. Akty przekupstwa i sprzedajności mogą pojawiać się wydarzeniowo, ewenementalnie, że tak powiem, nawet w grupach społecznych przestrzegających wysokich standardów moralnych, wyznających moralność surową i ascetyczną. (Przykładowo można wymienić krzyżowców, purytanów, komunistów.) W Polsce obecnie korupcja nie ma już charakteru wydarzeniowego. Umasowiła się. Dostrzegamy ją w najmniej spodziewanych miejscach i w formach tak pomysłowych, że tylko nieliczni, dogłębnie znający daną dziedzinę, potrafią ją zauważyć.

Sprzedajność i przekupstwo są karalne. Z wykrywalnością czynów sprzecznych z prawem nie jest u nas, jak wiadomo, najlepiej, zawsze jednak towarzyszy im obawa kary, co samo przez się stanowi duży dyskomfort. I tu trzeba wymienić zapowiedziany drugi, wyrafinowany sposób przejawiania się korupcji. Po co narażać się na konsekwencje działań przestępczych, skoro można ten sam cel osiągnąć zgodnie z prawem? Wysocy urzędnicy samorządowi, przyznając sobie gorsząco wysokie wynagrodzenia, twierdzili, że czynią to, aby nasza samorządność nie została przez nich opuszczona na korzyść firm zagranicznych lub innego biznesu. Nie bardzo w tym biznesie i w tych firmach zagranicznych czekają na wojewódzkich marszałków i prezydentów miejskich. Byliby bliżsi prawdy, gdyby się tłumaczyli, mówiąc, że wysokość ich wynagrodzeń miała być ekwiwalentna w stosunku do łapówek, jakich się na swoich stanowiskach z góry wyrzekli.

Jarosław Kaczyński podtrzymuje w „Gazecie Wyborczej” pomysł, jaki powstał w jego partii, aby w celu walki z korupcją powołać

odpowiedni urząd: „Chodzi o kilkusetosobową, bardzo dobrze opłacaną grupę”. (Lenin, zawsze dokładny, proponował grupę 400-osobową.) Na pytanie dziennikarzy, jak wysoko ma być opłacana, odpowiedział: „Oczywiście, nie ma sensu ścigać się z biznesem, bo takiego wyścigu żaden budżet nie wygra. Chodzi o to, by różnice nie były wielkie”. Jeżeli w tym urzędzie do walki z korupcją płace mają niewiele różnić się od wynagrodzeń osiąganych w biznesie, to znaczy, że muszą one być jeszcze wyższe niż te, którymi samorządowcy wywołali oburzenie społeczeństwa. Za wcześniej ustalać płace w Urzędzie Antykorupcyjnym, skoro urzędu jeszcze nie ma, wystarczy nam wiedzieć, że mają one być bardzo wysokie.

Trudno znaleźć kogoś tak naiwnego, aby po wszystkich doświadczeniach z nadzwyczajnymi urzędami do walki z korupcją wierzył jeszcze w skuteczność takiego rozwiązania. Jarosław Kaczyński naiwny nie jest i zapewne pała szczerą chęcią zwalczania korupcji. Dlaczego więc podtrzymuje tak niedorzeczny projekt? Nawet nie próbuje na to odpowiadać. Zakłada się, że funkcjonariusze tego urzędu mają być najuczciwsi z uczciwych. Dlaczego tacy ideowi, nieposzlakowani ludzie mają jeszcze być motywowani nadzwyczajnie wysokimi płacami? Co jest warta ich uczciwość, jeżeli potrzebuje takiego wzmocnienia? A jeżeli mają być ludźmi takimi jak inni, to skąd nadzieja, że swoich nadzwyczajnych uprawnień nie zechcą spieniężyć? Nadzieja ta otóż ma silne podstawy: mało kogo byłoby stać na przekupienie tych już przez partię rządzącą przekupionych funkcjonariuszy cnoty.

Urząd Antykorupcyjny byłby jedną z form wyrafinowanej korupcji, praktykowanej z asekuracją prawną i polityczną, formą nie tylko bezkarną, ale pretendującą jeszcze do chwały moralnej. Oto najwyższe stadium korupcji! Wysuwając tego rodzaju projekt, J. Kaczyński jednocześnie obiecuje „rozerwać związki między klasą polityczną, aparatem państwowym a światem przestępczym”. Nie widzę w tej obietnicy niczego prócz rywalizacji między dwiema postaciami korupcji: pospolitą i wyrafinowaną. Mafia sycylijska wydaje mi się organizacją uczciwszą od takiego Urzędu Antykorupcyjnego, bo nie udaje tego, czym nie jest.

Korupcja asekurowana politycznie („patriotycznie”), przebrana w maskę służby Rzeczypospolitej, nie jest w Polsce zjawiskiem nowym. Do mnie najbardziej przemawiają przykłady historyczne i liczę,

że również do wielu czytelników. Maurycy Mochnacki opisuje, jak to wyglądało podczas krótkotrwałej niepodległości po wybuchu powstania listopadowego: „rozpoczęły się owe gorszące (...) łowy na posady (...). Weszło w obyczaj, z duchem zbrojnego powstania niezgodny, urzędowanie. Ledwo nie kto w Boga wierzył, chciał urzędować koniecznie i świetnie. To trwało aż do ostatka. Familiami, prowincjami, grupami rzucano się tedy do urzędów, jakby naród dlatego tylko powstał, ażeby pewnym osobom i zbiorom osób w nagrodę dawnych zasług, nabytych reputacji, przecierpianych pod moskiewskim uciskiem prześladowań do tego niewczesnego popisu szerokie otworzyć pole. Ten siedział parę lat w więzieniu – a więc zrobić go ministrem! Ów pod przeszłym rządem otrzymał niezasłużoną dymisję (...), więc zrobić go przynajmniej zastępcą ministra. Innego W. Książę skrzywdził osobiście – a więc zrobić go zastępcą radcy stanu! Bez względu na szczególność fachu, na specjalność zatrudnienia szlachta wprost od pługą chwyciła posady główne pomimo starych przestróg Kołłątaja. (...) Nie ma rządu, którego by taka logika w sejmik jarmarczny nie zmieniła”.

Jarosław Kaczyński jest człowiekiem przedsiębiorczym w politycznej intrydze, ale umysłowo zasklepił się w horyzoncie sprzed 10 czy 20 lat. Jego głównym wrogiem nadal pozostaje „układ ubecko-biznesowy”. Słabo rozróżnia przeciwników politycznych od przestępców, dlatego jego poglądy na temat zwalczania przestępczości muszą być interpretowane, dosłownie ich brać nie można. Pod jego, na szczęście nieprawdopodobnymi, rządami państwo uległoby anarchizacji, jedność polityczna, jaką państwo ustawia, zostałaby zburzona. Społeczeństwu zostałaby narzucony podział na naród solidarnościowy z jednej strony i „przestępczych” „komunistów”, czyli SLD, z drugiej. Polityka zostałaby zastąpiona policyjnością, opozycja byłaby dopuszczalna jedynie wewnątrz obozu solidarnościowego, zaś SLD jako „komunizm” zostałby desygnowany na organizację przestępczą. Kaczyński nie jest jedynym, który ma takiego ćwieka w głowie, to samo miał Krzaklewski, cała solidarnościowa prawica na to cierpi.

## O WINIE NARODOWEJ

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej, Leon Kieres, powiedział parę miesięcy temu w telewizji Puls, że nie czuje się odpowiedzialny za morderstwa popełnione na Żydach w Jedwabnem, ponieważ urodził się po 10 lipca 1941 roku i jego rodzina tam nie mieszkała. Nie będąc odpowiedzialnym, prof. Kieres stwierdził, że czuje się jednak winnym czynów haniebnych, tak jak czuje się dumnym z osiągnięć naszych noblistów i innych wielkich Polaków.

Dążenia do słusznych celów (jak również do niesłusznych) prawie zawsze powodują efekty niezamierzone. Dokonywana właśnie lustracja polskiej historii okresu powojennego rozszerzona została na okres wojenny. Moim zdaniem, powinna objąć również czasy przedwojenne, po których pozostały dwa fałszywe obrazy: wyidealizowany autoportret, pozostawiony przez „sanację” i karykaturalny wizerunek, stworzony przez komunistów. Skoro zbrodnie policyjne kwalifikowane są obecnie jako zbrodnie przeciw ludzkości, a te są nieprzedawnialne, to należałoby wszcząć śledztwa w sprawie zabójstw i tortur popełnianych podczas tłumienia strajków chłopskich przed 1939 rokiem. Niektórzy świadkowie jeszcze żyją. W tym szaleństwie byłaby metoda.

Przeprowadzana lustracja historii otwiera ludziom oczy na wiele faktów przedtem nieznanych i skłania przynajmniej do przemyślenia, jeśli nie odrzucenia, uporczywych stereotypów narodowych i narodowej autogloryfikacji. Domyślam się, choć nikt tego wyraźnie nie głosi, że odsłanianiu rozmyślnie popełnianych zbrodni oraz aktów spontanicznego okrucieństwa przyświeca idea podniesienia ludzi na wyższy poziom moralny. Towarzyszy też może nadzieja, że na tym wyższym poziomie utrzymają się podczas przyszłych wojen i rzezi. Gdyby tego moralnego zamysłu nie było, to nic by nie stało na przeszkodzie, aby odsłaniane zbrodnie zostały objęte przez medialną estetyzację zła i przekazywane publiczności na tych samych prawach, co telewizyjne filmy grozy i inne „kryminały”. Nie mam wyrobionego

poglądu, czy rozliczanie przeszłości czyni ludzi wrażliwsi moralnie. Może czyni, może nie czyni. Widzę natomiast, że pod względem intelektualnym cofa nas do stanu, który uważaliśmy za szczęśliwie przewyższony. Ożyło archaiczne pojęcie winy zbiorowej i narzuca się ono z taką siłą, że Bogu ducha dotychczas winny profesor Kieres przyznaje się do moralnej winy za morderstwa popełnione przez niektórych mieszkańców Jedwabnego w czasach, gdy jego jeszcze na świecie nie było. Co więcej, czuje się winny, mimo iż nie uważa się za odpowiedzialnego.

W polskich dyskusjach przywołana jest niekiedy filozoficzna rozprawa Karla Jaspersa „O winie niemieckiej”. Albo mało kto ją czytał, albo mało kto ją zrozumiał. Myślenie Jaspersa wyłania się z mglistej atmosfery niemieckiej mistyki wspólnotowej jako jej zaprzeczenie. Jego słusznym zdaniem, jednostka ponosi winę moralną za swoje własne czyny, a czuć się winna może również za tych, których kocha i z którymi czuje się głęboko solidarna. Brać na siebie winę za to, co zrobił motłoch, jest postawą niemoralną, nie dającą się pogodzić z rzeczywistym etycznym obowiązkiem potępienia zbrodniczego motłochu. Ze zbrodniarzami nie trzeba mieć nic wspólnego, a już broń Boże wspólnej winy moralnej. Wina moralna czy jakakolwiek inna wina należy do rzeczywistości i nie ma ona wspólnego mianownika z tym subiektywnym stanem umysłu, który nazywany jest „dumą z osiągnięć naszych noblistów czy innych wybitnych Polaków”. (Ktoś mówił o Koperniku i Tischnerze, ktoś o „odsieczce wiedeńskiej”...) Z winy nie można sobie stroić żartów, a z owej dumy można. Jeśli ktoś stawia jedno i drugie na tej samej płaszczyźnie, jako rzeczy porównywalne, to odbiera winie powagę i gotów się z nią afiszować, chwalić się nią, co też wielu robi. I jeśli dodamy, co jest faktem, że afiszowanie się z poczuciem winy bywa nagradzane, to już wiemy, z czym mamy do czynienia: z przeciwieństwem poczucia winy. Za rzeczywistą winę, moralną czy inną, nikt nikogo nie chwali i nie nagradza, i nikt się z nią nie obnosi.

Chciałbym uzyskać wyjaśnienie, na jakiej podstawie opiera się obwinianie całego narodu za zbrodnie popełnione przez dających się zidentyfikować osobników, przez ten naród nie szanowanych lub przez organizacje, które narodu nie reprezentowały? Czesław Miłosz pisał w „Rodzinnej Europie”: „Odpowiedzialność zbiorowa to zbrod-



nia”. W tych słowach autor zawarł istotę mądrości, jaką Europejczycy zdobyli olbrzymim kosztem rewolucji klasowej i wojen między narodami. Oceniał XX-wieczne ideologie (nacjonalizm, rasizm, komunizm), usiłujące scalić jednostki w kolektywną jaźń.

W czasie moich studiów uniwersyteckich (przełom lat 50. i 60.) najbardziej słuchani profesorowie – oboje Ossowscy, Baczeko, Kołakowski – byli oświeceniowcami. Przeciwwstawiali się oni pogładowi, który w dzisiejszych dyskusjach teoretycznych nazywa się „esencjalistyczną koncepcją narodu”, a popularnie w Polsce koncepcją endecką. Nacjonalistycznej ideologii przeciwwstawiali ideę narodu obywatelskiego, republikańskiego, uznającego autonomię jednostki i jej moralny prymat. Odmawiano narodowi podmiotowości moralnej, w której ginęłaby jednostka ze swoim sumieniem i swymi „prawami człowieka”. W literaturze to stanowisko najradykałniej wyrażał Witold Gombrowicz. W następnych latach prawie niepostrzeżenie zachodząca ewolucja zepchnęła idee oświeceniowe na margines, do roli „ideologii dominującej” wyniosła romantyczny irracjonalizm, polityczny katolicyzm i tak zwaną endecką, ale znacznie trywialniejszą niż u pierwszego pokolenia „endeków” koncepcję narodu.

Jakie założenie, jaką koncepcję narodu trzeba przyjąć, aby dać podstawę lub przynajmniej uczynić zrozumiałym pojęcie narodowej winy, odziedziczonej przez ludzi porządných po jedwabiańskim motłochu? „Jestem Polakiem – to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia zarówno dziś, jak i w wiekach ubiegłych, (...) czuję swą ścisłą łączność z całą Polską (...), która bądź cierpi prześladowanie, bądź cieszy się strzępami swobód narodowych (...), bądź gnuśnieje w bezczynności, bądź w ciemności swej nie ma nawet poczucia narodowego istnienia; z przeszłą – z tą, która przed tysiącleciem dźwigała się dopiero, skupiając koło siebie pierwotne, pozbawione indywidualności politycznej szczepy, i z tą, która (...) grzęzła w cywilizacyjnym zastoju, gotując sobie rozkład sił narodowych i zagładę państwa. Wszystko, co polskie, jest moje: niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne”. Co mnie nie przestaje dziwić: kto dziś domaga się kolektywnego, narodowego dziedziczenia win, nie odwołuje się do zacytowanego właśnie Romana

Dmowskiego, rozciągającego odpowiedzialność jednostki aż na „pozabawione indywidualności politycznej szczepy”. Przeciwnie – będzie raczej twierdził, że naród jest niedawnym wytworem nacjonalizmu, a może nawet niemieckiej literatury romantycznej. I ta fikcja ideologiczna posiada moc wikłania nas w zbiorową winę? Narodowy kolektywizm został niebywale spotęgowany, ale nie chce nazywać się nacjonalizmem.

P 2 VII 2001

## OBRONA KONIECZNA PRZED AGRESJĄ AKUSTYCZNĄ

Oficer z Biura Ochrony Rządu znalazł się pod policyjnym dozorem. Przedtem policja osadziła go w celi. Prokurator postawił mu zarzut spowodowania „ciężkiego uszczerbku na zdrowiu”. Oficer strzelił plastikowym pociskiem do pewnego osobnika, kula trafiła w ucho i wyleciała przez policzek. Prasa z reguły bierze w obronę ofiary takich zajść, w powody działania sprawców nie wnika, z góry przesądając, że nie mieli oni żadnej racji po swojej stronie. W relacji prasowej oficer BOR-u został przedstawiony jako osoba nie zrównoważona, nadpobudliwa i agresywna. Przyjrzyjmy się temu przypadkowi nieco dokładniej, a przekonamy się, że wśród uczestników sprawy – policjantów, prokuratora, poszkodowanego i jego kompanów – jedynie zachowanie oficera BOR-u można uznać za normalne i usprawiedliwione. Wyjechał z Warszawy, aby odpocząć „na łonie natury” i spędzał weekend na polu namiotowym. Miał prawo spodziewać się, że inni przybyli tam również w tym celu, i że reguły współżycia w takim miejscu są oczywiste i polegają na tym, iż każdy się stara jak najmniej dać odczuć innym swoją obecność. Oczywiście zawsze obowiązuje. Nie musi ona być sformułowana pisemnie i dana policji do wyegzekwowania. Trudno wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym wszystkie wymagania wobec jednostek są skodyfikowane i urzędowo obwieszzone. Nie wszystkie nawet są myślane, wiele zasad uznajemy podświadomie, przestrzegamy niejako instynktownie, i nie należą one do najmniej ważnych. Jedną z takich zasad jest np. wymijanie się bez obijania sobie boków i bez ocierania się o siebie. Nawet zwierzęta jej przestrzegają. Nie straci ona nigdy swojej oczywistości, nawet gdyby nie była przestrzegana jak obecnie w Polsce. Za takie chodzenie, jakie uzwyczajniło się na polskich trotuarach, w czasach mojej młodości można było słusznie dostać po głbie. Uważano, że poza miejscami tłoku fizyczne dotknięcie jest zaczepką wymagającą odreagowania. Anglosasi i niektóre inne nacje nadal tak uważają.

Jeszcze gorsze od potrącania jest pobudzanie czyjejś uwagi za pomocą hałasu. Stopnia agresywności hałasowania nie można ustalić, licząc tylko decybele. Szum i warkot pojazdów mechanicznych na drogach, gwizd lokomotywy czy odgłosy pił tartacznych nie są agresywne, ale otwarte radio w samochodzie zaparkowanym na skraju lasu już takie jest. Mierzone w decybelach może być cichsze od traktora, ale nie ma jego użyteczności na usprawiedliwienie.

Najpowszechniej stosowanym dziś środkiem agresji są elektroniczne wzmacniacze i odtwarzacze muzyki. Każdy ma prawo oglądać, co mu się podoba i nie przychodzi mi na myśl okoliczności, w których to prawo musiałoby zostać ograniczone. Wobec praw wzroku jestem radykalnym liberałem, żadna pornografia mi nie przeszkadza, ponieważ patrzenie jest sprawą indywidualną. Oglądając cokolwiek, jednostka cudzych oczu do tego nie angażuje i nie wciąga. Wyobraźmy sobie jednak, że oglądający zmuszałby wszystkich znajdujących się w promieniu kilku, kilkudziesięciu czy kilkuset metrów do oglądania tego, co jemu podoba się oglądać. Toż to byłby koszmar! I właśnie żyjemy w koszmarze, ale nie wizualnym, lecz akustycznym. Przymus patrzenia na to, na co inni patrzą, rozkojarzyłby naszą uwagę, utrudniałby zebranie myśli, uczynił istotami niespokojnymi i tępymi. Tak samo, ale już w rzeczywistości, a nie w domyśle działa przymus słuchania tego, czego nie chcemy słuchać. Spotęgowany, agresywny hałas otepia wszystkich, ale oczywiście tępych mniej niż inteligentnych. Sama muzyka może być kojąca i odpowiadać naszym wewnętrznym biologicznym rytmom, ale może też być perwersyjnie agresywna. Parę lat temu prasa doniosła, że po koncercie muzyki rockowej, urządzonym w lesie, wyzdychały wszystkie czaple w okolicy, a zanim zdechły, wykazywały symptomy obłędu.

Nie ma w Europie tak hałaśliwych osiedli mieszkaniowych jak w Polsce. Łomot muzyczny rozlega się z każdego bloku, przenika przez piętra, odbija się od innych bloków. Mieszkańcy mają do wyboru: albo poddać się tym prymitywnym rytmom, co jest podobne do rezygnacji podczas gwałtu, albo strzelać jak ten oficer BOR-u. Które zachowanie jest bardziej normalne z punktu widzenia godności ludzkiej? Rynek w Krakowie, jeden z najpiękniejszych w Europie, stał się kłoką dźwięków. Protesty mieszkańców zwykłych i z nazwiskami nie odnoszą żadnego skutku. Prawie nieustająca „inwazja mocy” pło-

szy jednych i przyciąga drugich, a różnicy między jednymi i drugimi niech się już czytelnik sam domyśli. Przepiękny rynek w renesansowym Zamościu jest w lecie obstawiony ze wszystkich stron kawiarnianymi stolikami, a każda kawiarnia nadaje bezustannie swój łomot. Nie znaczy to, że władarze miasta zrezygnowali już z przyciągnięcia zagranicznych turystów. Oni tych rzeczy nie kojarzą. Grupy młodych ludzi wjeżdżają samochodami w okolice lasów i parków narodowych, i aby lepiej słyszeć, wystawiają głośniki na maski samochodów. Nie ma miejsca w Polsce, gdzie byłoby się bezpiecznym przed agresją tonów basowych, perkusji i wycia. Policja nie jest przygotowana ani szkolona do zaprowadzenia porządku akustycznego. Wezwana do uciszenia szczególnie wrzaskliwego towarzystwa, zastaje młodych ludzi podnieconych alkoholem, agresywnych i otepiałych, do których nie dotrze żadne słowo perswazji. Użycie siły wywołuje czynny opór, policjanci albo muszą działać z większą determinacją, ryzykując przekroczenie przepisów, albo wycofać się, uciekać. Unikając trudnej sytuacji, przeważnie bagatelizują hałaśliwe zachowanie, nieznosne dla osób, które nie mogą tak łatwo oddalić się jak policja.

Wobec agresji akustycznej powinno mieć zastosowanie prawo do obrony koniecznej. Jest to prawo oczywiste, mimo że nie znajduje wyrazu w przepisach. Oficer BOR-u był ofiarą agresji i miał prawo się bronić. Jeżeli bronił się niezbyt właściwie (bo dał się np. chuliganom obezwładnić), to dlatego, że jak każdy normalnie wrażliwy człowiek doznał pod wpływem gwałtu akustycznego osłabienia władz umysłowych. Wszyscy ludzie w takich warunkach mają osłabione władze umysłowe, a jeżeli się nie bronią, to dlatego, że się boją. Oficer się nie bał, ale okazało się, że nasz system pojęć prawnych i moralnych, a także policja i prokurator wymagają, aby się bać.

P 23 VII 2001

## PERWERSJA

Tak zwana umowa społeczna polega na powszechnej zgodzie na to, że państwo ma monopol na stosowanie przemocy. Nie przyznaje mu się jednak prawa do posługiwania się środkami przemocy w sposób dowolny, według widzimisię urzędników niskiego czy najwyższego szczebla. Działa według reguł ogłoszonych publicznie i utrzymuje w ten sposób porządek uzupełniający lub korygujący porządek naturalny. Nie trzeba aż wiary w istnienie jakiegoś metafizycznego prawa naturalnego, aby wiedzieć, że również tam, gdzie państwo nie sięga i gdzie nigdy nie istniało, kradzieże, zabójstwa, oszustwa są słusznie karane. Tego naturalnego karania, będącego odwetem, nie mają racji potępiać ci, którzy żyją pod ochroną praw państwowych, tak jak ludzie bogaci nie mają prawa szydzić z biednych, zmuszonych do zdobywania środków do życia za pomocą pracy brudzącej ręce.

Państwo, nawet totalitarne, nie jest w stanie sięgnąć w każdy zakątek życia i wszędzie zdarzają się przypadki naturalnego karania, łamania państwowego monopolu na wymierzanie sprawiedliwości. Państwo traktuje takie przypadki jak przestępstwa, ale ludzkie poczucie słuszności usprawiedliwia je, a niekiedy wynosi ponad legalne wyroki. W literaturze czy filmie rzadko spotykamy zachwyty nad sprawiedliwymi wyrokami sądów, nad czym można ubolewać, często natomiast idealizowane moralnie są bezprawne, spontaniczne akty karania zła. Wprawdzie wojewoda, który chciał się zemścić na niewiernej żonie i jej kochanku, nie był pozytywnym bohaterem Mickiewiczowskiej ballady, ale kozak, który „wycelił, nie czekając wystrzeżił i ugodził w sam łeb – wojewody”, reprezentuje tam jakiś wyższy ideał sprawiedliwości.

W cywilizowanym społeczeństwie samosądy są niedopuszczalne, łamią one umowę społeczną i jako takie muszą być rozpatrywane przez sądy – ale czy karane, to już zależy od tego, w jakim pozostają stosunku do sprawiedliwości. Polskie państwo z policją, prokuraturą i sądownictwem jest obecnie tak niesprawne, że samosądy muszą być traktowane z wyrozumiałością.

Niesprawność policji i sądownictwa jest już zwyczajowo tłumaczona ubóstwem środków, niedostatecznością nakładów finansowych. „Opowiem panu, jak drogo zostałem obsłużony przez policję i jak nic z tego nie wyszło” – mówi mi dobry znajomy. „Mam dom letni na wsi. Pewnego razu sąsiad przypadkiem zauważył wyłamane drzwi, wybite okno. Zatelefonował na policję. Natychmiast przyjechało trzech funkcjonariuszy i ze zdziwieniem stwierdzili, że włamywacze są jeszcze na miejscu. Policjanci nie odważyli się jednak wejść do środka i ująć trzech, nieletnich zresztą, złodziejasków, mówiąc sobie roztropnie, że tamtych jest trzech, a my jesteśmy sami. Zadzwo-nili po posiłki, a później po następne posiłki, bo włamywacze nie chcieli się poddać. Przybyli nawet policjanci z brygady kryminalnej z bogatym wyposażeniem, antyterrorysty, jak o nich mówią. Według niektórych świadków, policjantów było ośmiu, inni doliczyli się dwunastu. Dwóch młodszych włamywaczy poddało się po dłuższych per-traktacjach, trzeci 16-letni bronił się, rzucając w brygadę antyterro-rystyczną, czym popadło. Zbiegło się ze wsi sporo gapiów, jak to zwykle bywa, niektórzy zaoferowali policji pomoc, która w końcu okazała się skuteczna, i „groźny” wyrostek został ujęty. Dowódca operacji cały czas porozumiewał się elektronicznie ze zwierzchnikami, z prokuratorem i otrzymywał ciągle to samo zalecenie, aby broń Boże nie zrobić jakiej krzywdy młodocianym włamywaczom. Zjawilo się też pogotowie ratunkowe, niełatwe do ściągnięcia, gdy ktoś na-prawdę zachoruje. Po tej komediowej akcji na miejscu przestępstwa nastąpił dalszy ciąg równie wątpliwy, jeśli chodzi o skuteczność. Włamywacze nie tylko nie zostali ukarani, ale nawet stopnia ze sprawowowania szkoła im nie obniżyła. Jako podatnik jestem po tym wszyst-kim wysoce usatysfakcjonowany. W ciągu tych paru godzin państwo wydało na obronę, co prawda raczej teoretyczną, mojej własności równowartość może rocznych moich podatków”. To rzeczywiście, w konkretnym miejscu i czasie zaszło wydarzenie jest typowe i przy-puszczam, że z różnych stron Polski otrzymam listy potwierdzające jego prawdziwość.

Policja udziela nam dobrych rad, niczym doświadczone, ale już niestety sklerotyczna babcia swoim wnukom: włamali się – bo kraty były za słabe, ukradli aparat fotograficzny – bo leżał na widocznym miejscu itp. Oskarżonego o przekroczenie obrony koniecznej proku-

rator poucza, że przed napastnikami należało uciekać i on by uciekał. Taki pożytek państwo polskie czyni ze swego monopolu na karanie, tak interpretuje umowę społeczną.

W Szczecinie opuszczony przez państwo właściciel sklepu wymierzył złodziejowi karę w sposób naturalny. Gdyby państwo było osobą, musiałoby się z tego powodu rumienić. Tymczasem ono się oburzyło – jak gdyby było osobą. Ukaranie złodzieja w sposób naturalny zmobilizowało policję. „Z urzędu wszczynamy postępowanie – zapowiedział podkomisarz policji w Szczecinie – nawet jeśli złodziej nie chce wnieść skargi”, a właśnie złodziej miał jeszcze na tyle wstydu, by nie występować z oskarżeniem przeciw okradzionemu. Zaznaczył swoją obecność także pełnomocnik rzecznika praw obywatelskich: „To ewidentne złamanie prawa (mówi o ukaraniu złodzieja). Radziłbym temu mężczyźnie zaskarżyć sklep (w którym dokonał kradzieży) do sądu i jestem pewien, że wygra odszkodowanie. Przyłapany na kradzieży człowiek powinien być przekazany policji (patrz wyżej). Nikt nie ma prawa (...) poniżyć jego godności”. (Cytuję za „Gazetą Wyborczą”). Widzimy na tym przykładzie, że urząd rzecznika praw obywatelskich rozszerza swoje uprawnienia na krępowanie rąk tym, którzy niechronieni przez państwo, sami bronią się przed przestępcami. Złodziej też ma godność, a godność według ideologii naszego państwa daje immunitet przed naturalną sprawiedliwością. Porównajmy opieszałość policji i prokuratury, gdy chodzi o ściganie przestępstw najdotkliwszych dla obywateli (wiele aferzyści, konkurenci dla rządu, mało nas obchodzą), słabą wykrywalność przestępstw, zawieszenia wyroków itp. z tą skwapliwością interwencji urzędu rzecznika praw obywatelskich, gdy naruszona została godność złodzieja.

Kto w Polsce sprawuje realną władzę? Na górze oligarchia partyjna, na dole – na osiedlu, w pociągu, na polu namiotowym – panami są coraz częściej szumowiny. Kształtuje nam się demokracja oligarchiczno-lumpenproletariacka.



## PRZESZŁOŚĆ JEST TO DZIŚ...

Gdy delegacje zachodnioeuropejskie zgodziły się na konferencji w Durbanie nazwać krzywdy wyrządzone Murzynom w czasach kolonialnych „zbrodniami przeciw ludzkości”, delegaci krajów afrykańskich bardzo się ucieszyli. Usilnie się tego domagali i to z dwu powodów: za takim wyznaniem win przez Europejczyków muszą iść odszkodowania pieniężne, a ponadto już samo bycie, choćby w dziesiątym pokoleniu, ofiarą modnie nazywających się zbrodni uchodzi obecnie za pozytywnie wyróżniającą się cechą moralną. Przeszłość czarnych Afrykańczyków składa się nie tylko z niewolnictwa i nie tylko z doznawania „zbrodni przeciw ludzkości”; skoro przetrwali i nawet się rozmnożyli, to widocznie w ich przeszłości były także wymiary pomyślności. Również tę niewątpliwą zbrodnię białych ludzi, jaką był handel Murzynami, można potraktować jako wyjściowe zdarzenie, które dało początek pomyślnie przecieź uwieńczonej historii Murzynów amerykańskich. Cóż z tego, że przeszli przez niewolnictwo! Europejczycy też mieli okres niewolnictwa, a pańszczyzna w Polsce, która była czymś może gorszym niż niewolnicza praca na plantacjach w Georgii czy w Alabamie, została zniesiona w tym samym czasie co niewolnictwo w Ameryce. Wymowne jest, co ze splątanych składników przeszłości narody wyciągają na wierzch. Obecnie wszyscy się przechwalają ludobójstwami, jakie przecierpieli ich przodkowie, a najlepiej oni sami. Pan nie wiesz, kto ja jestem! Ja jestem ofiarą zbrodni przeciw ludzkości! Coraz więcej ludzi chce uchodzić za ocalonych z jakiegoś holokaustu i ta mania tak się szerzy, że aż Światowa Konferencja ONZ przeciw Rasizmowi, Dyskryminacji Rasowej, Ksenofobii i Nietolerancji musiała uchwalić, że Holokaust był jeden. (Akurat tę uchwałę powinna sobie przyswoić polska prasa, gdzie „holokaust” pisze się z małej litery, nie rozróżniając nazwy ogólnej od imienia własnego.)

Polacy mało różnią się pod tym względem od Afrykańczyków. Gdyby ich ktoś przekonał, że te wszystkie Sybiry były tylko mało znaczącymi, choć trochę za często się pojawiającymi epizodami

w długim trwaniu narodowym i że klęsk nie warto wywlekać po to, żeby się nimi chwalić, to poczuliby się obrabowani z tego, co uważają za najcenniejsze w swojej historii. Jednostka, która ciągle mówi o tych samych swoich nieszczęściach, w końcu staje się nudna, a może i śmieszna. Naród również nie zyskuje na powadze dzięki obsesji cierpiętniczej. Toż nie po to hipotetyczny Bóg sprowadza na nas plagi, abyśmy się nimi chwalili. Raczej jest to temat do cichego zastanawiania się i może do rachunku sumienia.

Przebyte cierpienia różnych zbiorowości prędzej lub później znajdują się w orbicie zainteresowań kancelarii adwokackich. Właśnie Murzyni amerykańscy tam się już znaleźli. Adwokaci wykazali czarno na białym, że należą im się od Białych rekompensaty za czasy niewolnictwa. Obliczyli nawet wysokość: 100 miliardów dolarów. Co trzeci Amerykanin przychyła się do tych żądań, jeszcze więcej – poważnie się nad nimi zastanawia. Gdyby było kogo się zapytać, chciałbym wiedzieć, w jakim to momencie najnowszej historii tego rodzaju pomysły przestały śmieszyć, a zaczęły być poważnie przyjmowane lub oddalane. Przy okazji dyskusji o reprivatyzacji napisałem, że potomkowie chłopów pańszczyźnianych mogliby wystąpić z żadaniami odszkodowań za nieopłaconą pracę na pańskich folwarkach. Obecnie ta idea przychodzi do nas z USA, a co amerykańskie, a zwłaszcza murzyńskie, jest w Polsce ochoczo naśladowane. Podsuwam ten pomysł kancelariom adwokackim.

Rewindykacje finansowe spadkobierców krzywd są zgłaszane w tonie bóleści i z powołaniem się na wzniośle pojętą moralność. Żadne pieniądze – mówi się – nie zwrócą utraconej godności, przepaźdłego szczęścia i wprost zenuje nas mówienie o pieniądzach, ale jeśli nie możecie dać 100 miliardów, to dajcie przynajmniej 50. Też za dużo? To dajcie miliard i kończmy sprawę przebaczeniem.

Skracanie czasu historycznego dokonuje się bez żadnego rozumowania, zachodzi samo poza naszymi głowami. Czy przymusowy robotnik, który w Niemczech w 1945 roku widział, jak fabryka, w której pracował, rozsypała się w gruzy i który przedzierał się do Polski przez zburzone miasta – Kolonię, Hamburg, Berlin – myślał, że od tego sprawiedliwie zrujnowanego kraju będzie chciał uzyskać jakieś odszkodowanie? Czy nie był dostatecznie przekonany, że rachunki zostały wyrównane? Już po dziesięciu latach wojna wydawała

się zamkniętą przeszłością, a to, co trzeba jeszcze załatwić, należało do sfery spraw rządowych. Pracowaliśmy przymusowo, całe Niemcy leżały w gruzach, nie wzbogaciliśmy ich, ale za nasze upokorzenie, za naszych zabitych, za nasze zburzone miasta otrzymaliśmy Wrocław, Szczecin, Mazury. Dopuszczalne jest w pewnych granicach słowne kształtowanie przeszłości. Można by nawet mówić nie „otrzymaliśmy”, ale „wzięliśmy sobie prawem zwycięzców”. I to byłaby najpoprawniejsza wersja dla podręczników szkolnych. I kiedy wydawało się, że wszystko już zostało sprawiedliwie uregulowane, nagle czas się skurczył i znowu znaleźliśmy się blisko wojny. Z tamtej strony tonem spokojnym i w języku praw człowieka mówi się o odszkodowaniach dla „wypędzonych” i o ich prawie do powrotu. Odnosimy się do tego z lekceważeniem, ponieważ na razie my mamy lepszą kancelarię adwokacką. Ale tak jak „nie brak świadków na tym świecie”, nie brak też kancelarii adwokackich. Odszkodowania dla robotników przymusowych rząd Buzka wpisał na listę swoich osiągnięć. Jest to typowe osiągnięcie tego rządu. Typowe, to znaczy takie, za które przyjdzie słono zapłacić. Nie jest trudno otworzyć na nowo rachunki wojenne, jeśli się jednak nie posiada mocy, aby je zamknąć – a nie posiada się – to lepiej było tego nie robić.

Już cały nieomal świat rozlicza się z przeszłością i traci poczucie rzeczywistości czasu. Prawne pojęcie przedawnienia coraz bardziej zawadza, szuka się pretekstów, aby je przededefiniować. I robi się to albo dla kancelarii adwokackich, albo dla urzędów prokuratorskich. Już prawie poważnie brałem ideały jednoczenia się narodów Europy i tworzenia światowego „społeczeństwa obywatelskiego”. Przyszłość rysuje się optymistycznie – ale czy historia wydobywana z czeluści czasu, historia pełna krzywd, niewoli, podbojów nie stanie na przeszkodzie globalnemu społeczeństwu? Widzę tu jakąś przeciwstawność dążeń. Jeżeli narody rzeczywiście wezmą sobie do serca „głoszony przez rozwścieczonych moralistów nakaz pamięci”, to znaczy wydobywania z przeszłości wszystkiego co najgorsze, wszystkich krzywd i doznanych okrucieństw, i osądzania ich od nowa, za pomocą współczesnych kryteriów, to na czym opiera się nadzieja zwolenników „światowego społeczeństwa obywatelskiego”, czy choćby skromniejsza nadzieja pokoju między narodami?

## MOLESTOWANIE SEKSUALNE SPOŁECZEŃSTWA

Gdyby arcybiskup miał kochankę – czy dałoby się tym zainteresować ludność w Polsce? Czy znalazłby się ktoś tak głupi, aby zamówić sondaż w kwestii, kto w tę kochankę wierzy, kto nie wierzy i kto nie ma zdania? Czy „Rzeczpospolita” i „Gazeta Wyborcza” pisałyby na ten temat przez kilka dni i zasięgały opinii u autorytetów kościelnych i świeckich? Wiadomo, że osoby duchowne z różnych szczebli hierarchii miewają romansowe związki z kobietami i że z tych związków nieraz rodzą się dzieci. Budzi to umiarkowane zgorznienie wśród dewotek i dewotów, poza tymi kręgami rzecz jest przyjmowana z przymrużeniem oka lub w ogóle nie budzi większego zainteresowania. Nawet tygodnik „Nie” się przekonał, że naturalnymi skłonnościami erotycznymi księży nie da się zainteresować czytelników.

Koła oświecone od dawna uczą nas, że „orientacja” homoseksualna jest równie naturalna i dopuszczalna jak heteroseksualna, że tylko ciemnogród chciałby tu wprowadzać dyskryminację. Ale wystarczyłoby posądzenie arcybiskupa o skłonności gejowskie, aby różnica między kołami oświeconymi i ciemnogrodem zupełnie zniknęła. Może jej nigdy nie było, może „oświeceni” tylko sobie żarty z nas stroili?

Wszyscy dookoła zachodzą w głowę, dlaczego „Rzeczpospolita” i „Wyborcza” robią nagonkę na arcybiskupa. Cóż on takiego potworzonego zrobił, że jego kolega z Episkopatu pod wpływem pogłosek „poszedł modlić się na Golgotę?”. I dlaczego ten kolega „wyobraża sobie, jak bardzo muszą cierpieć rozdarcie i niepewność wierni w Poznania”, dlaczego uważa, że „ich bólu nie sposób ukoić w postaci oświadczeń... Ta rana prawdopodobnie będzie krwawić jeszcze bardzo długo”? Arcybiskupowi postawiono zarzut „molestowania seksualnego” kleryków i młodych, przystojnych księży. Wszyscy jesteśmy trochę zdeprawowani przez wykształcenie uniwersyteckie i ten rodzaj deprawacji trzeba nazwać werbalizmem. Więcej myślimy o słowach niż

o rzeczach, mylimy słowa z rzeczami, słowa łatwiej wywołują w nas oburzenie niż realne fakty. „Molestowanie seksualne” – to brzmi tajemniczo i groźnie, prawie jak mord rytualny albo co najmniej pedofilia. A na czym to polega w rzeczywistości? Gazety informują nas, że arcybiskup lubił młodych przytulać i głaskać. Niewątpliwie odbiega to od normy statystycznej, bo my, męska większość, lubimy przytulać i głaskać kobiety, a nie księży. Czy z punktu widzenia postępowej seksuologii i oświeconej obyczajowości stanowi to aż taką różnicę, aby z tego powodu drzeć na arcybiskupa mordę na całą Polskę? Każdy o tym wie i dobrze rozumie, że duchowieństwo ma swoją wewnętrzną moralność, która sprowadza się do szczątkowych już i utrzymywanych jak gdyby na pamiątkę po średniowieczu reguł ascezy. Z punktu widzenia spistości instytucjonalnej i dyscypliny wewnątrzkościelnej przekroczenie tych reguł może mieć złe znaczenie. Może rzeczywiście obejmowanie i głaskanie kleryków przez biskupa jest dla innych biskupów, bardziej opanowanych, powodem do „ból, którego nie sposób ukoić” i być dla nich „krwawiącą raną”. Nie widzę w tym powodu do tego, co wyrabiają media. Co się kryje za tym niesamowitym wyolbrzymianiem niewinnych karesów poznańskiego arcybiskupa? Jedno jest widoczne jak na dłoni: nasze czasy znamionuje obsesja seksualna, telewizja i gazety rzucają się na każdy fakt, każde zdarzenie, które daje pretekst do zaprzętania uwagi szerokiej publiczności tematyką seksualną. Uprawiane przez gazety i inne media molestowanie seksualne całego społeczeństwa jest tysiąc razy gorsze niż karesy arcybiskupa.

Jeżeli w tej aferze była jakaś rola dla prasy wielkonakładowej, to polegała ona na wyjaśnieniu, kto, jakie środowiska katolickie wszczęły intrygę przeciw arcybiskupowi Poznania. I o co tu chodzi? Czy jest to przejaw walki kapliczek w Episkopacie? Kościelna „wojna na górze”? Czy – jak mówią postronni złośliwcy – próba zapobieżenia mianowaniu arcybiskupa kardynałem (polsko-katolickie piekło), na co się zanosilo?

Najwięcej pewności, jak zwykle, miała blondynka z TVN: dlaczego papież zwleka z odwołaniem tego gorszyciela! Już cztery lata temu „było wiadomo”, dlaczego dopiero teraz sprawę się ujawnia! Cały repertuar zwyczajowych już oskarżeń, wystrzeliwanych z domniemanego źródła absolutnej pewności. Paradni są ci dziennikarze!

Cokolwiek wychodzi na jaw, dla nich zawsze wychodzi za późno. Nie robią jednak nic, aby już teraz odkryć afery, które będą odkryte za rok lub cztery lata.

Do czego służą mediom autorytety kościelne, przywoływane z byle okazji? I co te autorytety wiedzą o życiu? Są one przede wszystkim politycznie stronnice, a w sprawach nie dotyczących ich korporacyjnych lub prywatnych interesów – beznadziejnie łatwowerne. Akurat ta łatwowerność jest najmniejszym grzechem. Czy mogą nie być łatwowerni, skoro życie wypełnia im uczestniczenie w rytuałach takich jak np. przeistoczenie chleba i wina w ciało i krew Chrystusa? „Gazeta Wyborcza” odkryła, że w Łodzi służba zdrowia handluje zwłokami i dla zwiększenia obrotów uśmierca beznadziejnie chorych. Nie mając pewności, czy ogół czytelniczy przyjmie wiadomość z należytą zgrozą, zaopatrzyła publikację autorytatywną opinią arcybiskupa, który oczywiście był przeciw handlowaniu zwłokami i uśmiercaniu chorych. (Co za subtelność sądu, jakie czułe sumienie!) Nie przyszło mu tylko do głowy zastanowić się, czy wiadomość jest prawdziwa lub przynajmniej prawdopodobna. Bo też nikt tak nie choruje na werbalizm, na mylenie słów i rzeczy jak biskupi, a zwłaszcza biskupi-profesorowie. Zatroškani o czystość Kościoła księży, zwłaszcza ci bardziej uczeni, prawie jednomyślnie głoszą, że prasa spełniła swój obowiązek i oni się z tego bardzo cieszą. Chyba nie są tacy głupi, aby tak myśleć naprawdę. Dlaczego więc korzą się przed gazetami? Edukacji seksualnej w szkole się sprzeciwiają, ale absorbowanie wyobraźni milionów ludzi erotycznymi skłonnościami arcybiskupa pochwalają, bo „prawda was wyzwoli”. O niczym nie mają zdrowego sądu, wszystko pokrywają skrzydlatymi słówkami.

P 4 III 2002

## MORALNA MACZUGA

Nie interesuję się osobą prokuratora Andrzeja Kaucza i liczę na wzajemność. Gdy ten komentarz ukaże się drukiem, a więc za kilka dni, nikt już może nie będzie chciał słuchać o „sprawie Kaucza”. Jednakże pojęcia, wzory myślenia i rodzaje emocji, jakie się przy tej „sprawie” ujawniły, nie tracą znaczenia ani za kilka dni, ani za kilka lat. Prokurator, oskarżał w procesach politycznych podczas stanu wojennego, wnioskował o dziesięć lat więzienia dla Władysława Frasyniuka i parę lat dla Barbary Labudy. Michnik nazwał go z tego powodu „niebezpiecznym draniem”. Barbara Labuda powiedziała w radiu, że „był naprawdę podły i nikiemny”. Nie zaprzeczyła jednak powszechnie znanemu faktowi, że sama była przeciwniczką ówczesnie panującego ustroju i że działała w celu jego obalenia. Pod pewnym względem był to taki ustrój, jaki najczęściej spotykamy w historii: obwarował się prawem zakazującym czynów prowadzących do jego obalenia. (Poza tym miał wiele cech dziwaczych, takich jak zakaz prywatnej produkcji i wymiany, co go różniło od wszystkich innych ustrojów.) Według klasycznej typologii ustrojów politycznych, była to tyrania, ale w stadium demokratyzowania się i liberalizacji, zachodzących żywiołowo, co groziło anarchią, a ta jest jeszcze gorsza od tyranii. Trzeba sobie przypomnieć, że ponad polską anarchizującą się tyranią stała większa, moskiewska tyrania. Św. Tomasz z Akwinu twierdzi w traktacie „De regno” (O władzy), że gdy tyrania nie jest przesadna (a Polska Gierka i Jaruzelskiego z pewnością nie była przesadna), słuszniej jest ją znosić, niż „działając przeciwko tyranii, ściągnąć wiele niebezpieczeństw cięższych od niej samej”. Obalenie tyranii nie rozpoczyna przecież ery powszechnej szczęśliwości, lecz tylko zmianę jednych utrapień na drugie, „często wynikają stąd ciężkie niezgody wśród ludu, zarówno w trakcie walki przeciw tyranowi, jak po jego obaleniu, kiedy społeczeństwo dzieli się na partie kłócące się w sprawie ustalenia [nowego] ustroju”. Dalej św. Tomasz przestrzega przed tymi, którzy w swoim buncie „kierują się pry-

watnym mniemaniem”. Dodaje, że często na niebezpieczeństwo związane z walką przeciw tyranii „wystawiają się źli, a nie dobrzy” ludzie i powołuje się na króla Salomona, który powiedział, że „mądry król rozprasza [takich] niegodziwców”. Św. Tomasz jest największym autorytetem intelektualnym w Kościele katolickim. Wrocławski prokurator z okresu stanu szumnie zwanego wojennym działał nie tylko zgodnie z obowiązującym go prawem (niektórzy korzystając z rozkładu państwa, pozwalali sobie je lekceważyć), ale również w duchu nauki św. Tomasza. Dziwią mnie osoby, które chwając się, że przekraczały obowiązujące prawo, lamentują jednocześnie, że chciano je za to ukarać, czy też ukarano. Ustrój zbudowany na kłamstwie i zbrodni chcieliby ot tak sobie obalić kopniakiem zgrabnej nóżki, nie ponosząc żadnych ofiar.

Każdy oskarżony uważa siebie jeśli nie za niewinnego, to przynajmniej za zasługującego na uniewinnienie, prokurator zaś, który nie uniewinnia, to podły, nikczemny drań. Barbara Labuda nie zadała sobie trudu poszukania przymiotników przylegających do rzeczy, nie rozróżniała, nie uwzględniała racji lub przynajmniej punktu widzenia drugiej strony. Uderzyła moralnościową maczugą: „podły”, „nikczemny”. Widzę w tym moralność urobioną w małej grupie kontestatorów, przebywających tylko z takimi jak oni sami, których nic nie zmusza do obiektywizmu i liczenia się ze słowami. Nie rozróżniają stopni i odcieni dobra i zła, a są one nieprzeliczone. To, co ich tylko drażni, przeżywają tak jak to, co ich słusznie oburza, przykrości i cierpienia mają dla nich równą wagę. Uprawiają estetykę kontestacji i nikt nie potrafi ani od razu, ani po latach uprzytomnić im, że istnieje jeszcze coś ważniejszego: etyka polityki, choćby taka, jaką reprezentował wyżej cytowany autorytet.

Solidarnościowe zubożenie sfery wartości i zredukowanie wszystkich kryteriów do kryteriów politycznych powoduje, że tym samym tonem i tymi samymi słowami piętnuje się planowy terror stalinowski i przypadkowe w końcu, bo sprzeczne z założeniami stanu wojennego zastrzelenie dziewięciu górników; radomskie „ścieżki zdrowia” i morderstwa w Jedwabnem. Nikt już niczego na serio nie ocenia, panuje moralna lekkomyślność. Jeżeli prokuratorowska surowość, dyspozycyjność, a niechby nawet i niesprawiedliwość jest „podła” i „nikczemna”, to jakimi słowami określić postępowanie rzeczywiście



podłe i nikczemne? Hiperpodłe, superarcynikczemne? Zepsuliście język, panowie i panie. Nadużywacie hiperboli. Jak mam wyrazić swoją opinię o prokuratorze Zarakowskim (procesy czasów biurotowskich) albo o prokuratorze Wyszyńskim (procesy moskiewskie): podli i nikczemni jak prokurator Kaucz?

Szczyt wielkoduszności, na jaki wspinają się solidarnościowcy (i na to stać niewiele), to przyznanie innym „prawa do zmiany poglądów”. Sami jakoś nie kwapią się do skorzystania z tego prawa, mimo że wszystko poszło inaczej, niż obiecywali masom, gdy byli im one potrzebne. Prokurator, któremu zarzuca się dyspozycyjność w dawnym ustroju i któremu daje się „prawo do zmiany poglądów” w nowym, znajduje się w sytuacji bez wyjścia, bo podporządkowanie się temu „prawu” jest niczym innym niż dyspozycyjnością w nowym ustroju. Zaprzaństwo zostało podniesione do wysokości jakiejś cnoty moralnej, a dla wysokich urzędników państwowych stało się obowiązkiem. Dlaczego pod prawo do zmiany poglądów nie poddaje się wodzów „Solidarności”, którzy co innego głosili, gdy walczyli o władzę (głosili głupstwa), a co innego robili, gdy kraj opanowali (spowodowali wiele niepowetowanych szkód).

Wielu działaczy „Solidarności” nigdy nie znalazłoby się na stanowiskach poselskich, senatorskich, ministerialnych, gdyby nie byli internowani, oskarżani przez prokuratorów. I mimo że zostali wynagrodzeni tak sownie, jak im się to nawet przedtem nie śniło, ciągle, po dwunastu latach życia z przywileju, przemawiają jak ludzie ciężko skrzywdzeni, posiadający niewygasające prawo do zemsty i odwetu nad tamtymi, którzy przegrali.

P 12 XI 2001

## DOBRY CZŁOWIEK NA ZŁEJ POSADZIE

Prasa informuje, że „około 750 naukowców, duchownych, lekarzy, pisarzy, artystów, polityków, biznesmenów i dziennikarzy” ogłosiło list otwarty w obronie czci prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, profesora Leona Kieresa. W liście czytamy: „Wobec prezesa IPN ... dopuszczono się insynuacji, nacechowanych nienawiścią do innych ras, narodów i wyznań”. Jak to zwykle bywa z tekstami pisanymi zespołowo, i ten nie jest zbyt jasny. Mniejsza o szczegóły. Profesor Kieres jest z całą pewnością porządnym człowiekiem i jeśli stała mu się krzywda, sygnatariusze listu otwartego słusznie postępują, biorąc go w obronę. Nie jest bowiem prawdą, że funkcjonariusze instytucji, które mają niegodziwe cele, sami muszą być niegodziwi. Na czele PRL-owskiej służby bezpieczeństwa przez pewien czas stał niezwykle uczciwy przedwojenny ideowy komunista, nazwiskiem Dworakowski, jeśli się nie mylę. Wskutek rozterki moralnej, a może stresu rozchorował się ciężko na tym stanowisku. Bynajmniej nie porównuję IPN do tamtej instytucji, ilustruję jedynie pogląd ogólny. Każdy zresztą może przytoczyć jakieś przykłady o podobnej wymowie. Osoby, które dużo przeszły podczas wojny, mówią, że nawet wśród oficerów SS trafiali się porządni ludzie. Szczególnie w czasach rewolucyjnych dobrym ludziom zdarzało się obejmować stanowiska, które potomność oceniła jako przestępcze. Iluż szlachetnych idealistów objęło kierownicze stanowiska w rozmaitych czerezwyczajkach! Owe czerezwyczajki właśnie dlatego, że były czymś nowym, nadzwyczajnym, nie odstręczały dobrych ludzi, dopiero w praniu okazywało się, czym są, ale wtedy już było za późno na takie obowiązkowe skądinąd subtelności jak odróżnianie dobrego prezesa od złej instytucji.

Instytut Pamięci Narodowej jest typową czerezwyczajką, powołaną do celu, jakiego nie można osiągnąć za pomocą działań zgodnych z panującym porządkiem prawnym. Najlepsi, najrozumniejsi prawnicy krytykowali projekt, dopóki nie został uchwalony przez Sejm, teraz opuścili ręce. Sądząc na podstawie listów otwartych, IPN

najwięcej zwolenników ma wśród aktorek, aktorów, filmowców, poetów i poetek, księży i profesorów nauk humanistycznych. Co do kombatanów, ci są podzieleni.

Kieres był w Sejmie łajany za rolę swoją (i IPN-u) w sprawie Jedwabnego. Ale kto go łajał? Nikt inny jak ci, którzy już nieraz popisywali się swoim bezrozumem i byli najkrzykliwymi zwolennikami powołania tego nadzwyczajnego urzędu. IPN miał być namiastką, paliatywem niedającego się wprowadzić terroru antypostkomunistycznego. Swoimi procesami karnymi przeciw „komunistycznym zbrodniarzom” i nieustającym „rozliczaniem przeszłości” miał nękać i kompromitować lewicę. SLD jednakże (podobnie zresztą jak Prezydent) okazał się wspaniale obojętny na taką czy inną interpretację przeszłości. Każdą przyjmie z tym samym uśmiechem wyrozumiałości. Postawa „ty se mów, a ja se zdrów” okazała się najodpowiedniejszym zachowaniem w tej sytuacji. Cały potężny pion prokuratorski IPN obrzydza życie (i może trochę skraca) pewnej liczbie starców, założonego przez ustawodawców celu politycznego nie osiąga. W sprawie Jedwabnego IPN razem ze swoim prezesem nie odegrali żadnej pozytywnej roli. Wydano masę pieniędzy na niepotrzebne podróże i niepotrzebną, słusznie przez rabinów kontestowaną ekshumację, która niczego nie rozstrzygnęła. Przystępowano do niej zresztą z założeniem, że w tym wypadku ustalanie liczby ofiar nie ma znaczenia. Wszystko, co istotne, powiedzieli historycy i na tej podstawie jedwabińska zbrodnia mogła się stać doniosłym przeżyciem moralnym dla całego narodu, ale wmieszanie się IPN-u ze swoją nadzwyczajną prokuraturą i groźbą ponownego karania sprawców zmieniło nastawienie emocjonalne dużej części społeczeństwa. IPN jest winien splotenia i zamącenia wymowy tego straszliwego odkrycia (bo dla ogółu ludności było to jednak odkrycie). Kto ogłasza, że będzie karał, nie może liczyć na to, że wstrząśnie sumieniami.

IPN przejął zadanie ścigania i karania zbrodni wojennych. Bierze na ten cel pieniądze. Ale gdzie pół wieku po wojnie znaleźć hitlerowskich zbrodniarzy? Na bezrybiu i rak ryba. Prokuratorzy IPN doprowadzili do skazania na osiem czy siedem lat więzienia Polaka, który jako 19-letni chłopiec został przez Niemców uwięziony w obozie koncentracyjnym. Gdy starsi umierali z wycieńczenia, Niemcy posługiwali się młodym i zdrowym, zmuszając go do czynów niewątpliwie

ohydnych. Ale jakiego oporu można spodziewać się po chłopcu oderwanym od wszelkiej wspólnoty, niemającym żadnego oparcia moralnego i w każdej chwili zagrożonego kulą w głowę. Skazywanie kogoś takiego na więzienie po 60 latach, w oparciu o paragrafy ustanowione z myślą o zbrodniarzach hitlerowskich jest wydarzeniem domagającym się protestu nie 750 sygnatariuszy lecz siedmiu milionów. Nie ma ono nic wspólnego ani ze sprawiedliwością, ani z pamięcią narodową. Widać w nim tylko sadyzm moralistów. Podobną wymowę ma postępowanie w sprawie Szymona Morela, którego ekstradycji z Izraela znowu się żąda. O Morelu pisałem parę lat temu. Możliwe, że znęcał się nad więźniami, ale wówczas odwet był „prawem naturalnym”, naloty dywanowe burzyły, paliły Drezno wraz z jego cywilną ludnością i pół Europy radowało się z tego powodu. Od Morela, który jako Żyd miał powody do zemsty, żąda się retrospektywnie umiaru, opanowania, humanitaryzmu i innych cnót dla przeciętnego człowieka wówczas nieosiągalnych.

Z niebывалą lekkomyślnością kwalifikuje się złe czyny jako zbrodnie przeciw ludzkości. Za tym idzie równie lekkomyślne uchylanie przedawnienia. IPN został powołany w atmosferze anomii i sam tę anomię pogłębia i utrwała.

Nie wszystkie wiadomości o IPN są smutne. Są też rozweselające. „O wszczęciu śledztwa przez IPN Leon Kieres poinformował wczoraj w Gdyni – donosiła «Gazeta Wyborcza» rok temu – Prokuratorzy Instytutu zbierają materiały, które mają pomóc rozstrzygnąć, czy legendarny kurier z Warszawy i współtwórca Radia Wolna Europa został zniesławiony...”

P 11 III 2002

## PRZYWILEJ CZWARTEJ WŁADZY: KŁAMSTWO

Nie mam do sprzedania rozgłośni radiowej i nie noszę się z zamiarem zakupu ogólnokrajowego dziennika, chociaż bardzo by mi się przydał do prostowania fałszów głoszonych przez telewizję TVN. W sporze o nową ustawę regulującą działanie mediów nie jestem stroną, a jeśli jestem, to tą, do której media prywatne kierują swoje bajecznie nierzeczowe argumenty. Chcą one, aby nasza, odbiorców, strona poczuła się przestraszona groźbą zniesienia pluralizmu i wolności mediów. Jakoś nie widzę, żeby ktoś się tej groźby bał. Jeśli można się tu czegoś bać, to chyba tylko niebywałej ofensywy kłamstwa, jaką rozpoczęły media prywatne. Myślę, że gdyby „Gazeta Wyborcza” przyłączyła do siebie Polsat, ten Polsat mógłby tylko zyskać na atrakcyjności, może nawet dałby się oglądać. Ale czy dla osiągnięcia tego celu warto było „Gazecie Wyborczej” uprawiać propagandę na poziomie TVN i narażać się na utratę wiarygodności?

Jeśli media są przedsiębiorstwami służącymi do zarabiania pieniędzy (a w sporze z rządem powołują się na wolność lokowania kapitału), to nie mogą być żadną władzą, ani czwartą, ani piątą, ani szóstą. Podmiotom ekonomicznym nie przysługuje prawo kontrolowania rządu. Jeśli jednak media są tą czwartą władzą, to, jak każda władza, mogą robić tylko to, do czego zostały powołane. Prawo robienia wszystkiego, co nie jest zakazane, przysługuje obywatelowi, ale nie władzy. Każda władza, pierwsza czy czwarta, musi być ograniczona, żadnej nie można pozwolić, aby sama sobie wyznaczała cele i granice.

Media mają dostarczać rozrywki. System rozrywkowy (sławne i wypróbowane circenses) jest nader ważnym uzupełnieniem systemu władzy, jego zadaniem jest trzymanie ludzi w domach (niestety, w niezdrowej pozycji siedzącej), zaprzętanie ich umysłów treściami nieszkodliwymi dla porządku społecznego i chronienie przed nudą, która jest bardzo niebezpiecznym stanem mentalnym. Drugim zadaniem mediów jest dostarczanie tym siedzącym obywatelom pojęciowych środków kontrolowania władzy. Ta funkcja jest jeszcze bliższa

istoty władzy niż poprzednia. Media pełnią ją źle albo bardzo źle. Demokracja istnieje albo jej nie ma, zależnie od tego, czy ludzie mogą kontrolować władzę. Tutaj już nie można sobie stroić żartów, do kontrolowania władz (a wszystkie tego wymagają) potrzebujemy prawdziwych wiadomości. Wymóg prawdziwości informacji szerzonych przez media musi kiedyś być ściśle wyegzekwowany, jeżeli demokracja nie ma się skompromitować i ustąpić miejsca anarchii lub od razu dyktaturze. Szerzenie przez media nieprawdziwych wiadomości, błędne naświetlanie działań takiej czy innej władzy, oskarżanie niewinnych i wybielanie winnych należy do cięższych przestępstw niż urzędnicze łapówkarstwo czy malwersacje choćby na skalę PZU-Życie. Czynom pana Kolasińskiego [poseł AWS, winny pospolitych oszustw, aferzysta pomniejszego formatu – red.] przypisałibyśmy proporcjonalnie mniejszą szkodliwość społeczną, gdybyśmy się zdobyli na obiektywną ocenę szkodliwości kłamstw i przeinaczeń popełnianych przez telewizyjnych gwiazdorów programów w założeniu informacyjnych.

Władza wykonawcza posiada przywilej ukrywania prawdy w pewnych sytuacjach. Rząd może przygotowywać decyzję dotyczącą kieszeni każdego mieszkańca kraju i jednocześnie dementować prawdziwe pogłoski na ten temat. Nie można mu z powodu tego kłamstwa robić zarzutu, ponieważ niełatwo jest poinformować cały naród w taki sposób, aby się o tym spekulanci finansowi nie dowiedzieli. Poczucie odpowiedzialności skłania czasem czwartą władzę do zachowania w tajemnicy tego, co jest tajemnicą rządową, ale prawa do swoich własnych kłamstw ona nie ma. Każdy człowiek jest omylny, ale dziennikarz z omyłek ma obowiązek się tłumaczyć.

Gdy różne grupy dążą do tego samego, do tych samych pieniędzy, do tych samych częstotliwości, do wpływów na tych samych ludzi, do władzy nad tymi samymi ludźmi, dyskusja i argumentacja są grą pozorów. Rzeczywistością jest przepychanie się, walka, podstęp, a przede wszystkim nadużywanie kłamstwa. Ale i w takiej sytuacji należałoby zachować jakieś formy przyzwoitości, a gdy się pretenduje do statusu obiektywnego autorytetu, to również konsekwencja i stosowanie równych miar by się przydało. We Francji kilkanaście lat temu miała miejsce taka historia: Robert Hersant miał ogólnokrajowy dziennik „Le Figaro”, kilka gazet prowincjonalnych i chciał dokupić

telewizję. Lewicowy rząd pozazdrościł prawicowemu Hersantowi możliwych wpływów na opinię publiczną (może się nawet trochę przestraszył) i wprowadził ustawę zabraniającą posiadania jednocześnie ogólnokrajowego dziennika i stacji telewizyjnej. Mnie się to wówczas bardzo nie podobało, ale rozmaite francuskie i międzynarodowe komitety wolności prasy ustawę anty-Hersant gorąco poparły. Dzięki temu stała się ona wzorem dla innych krajów. I tak oto konwencjonalna bomba ustawodawcza zrzucona kiedyś na Hersanta swoimi odłamkami może dosięgnąć daleko od miejsca wybuchu leżącą spółkę Agorę.



Już prawie byłem przekonany, że na Białorusi panuje sroga dyktatura. Wątpliwości w moim umyśle zasiał dziennikarz z Grodna, który w gazecie „Pahonia” podzielił się ze swymi rodakami opinią, że prezydent Łukaszenka jest mordercą. Gdyby był przekonany tak jak my, że na Białorusi nie ma miejsca dla krytyki władzy, to by nie liczył na wydrukowanie swojego artykułu. Artykuł został wydrukowany, ale gazeta skonfiskowana, zaś autor i redaktor mają być sądzeni, gdy tylko sędzia wyzdrowieje. Na razie jest chory. Czy posądzenie prezydenta o patronowanie szwadronom śmierci, o odpowiedzialność za morderstwa jest przestępstwem? W Polsce Lepper został oskarżony przed sądem za to, że zarzucił prezydentowi lenistwo. Ale Lepper nie jest dziennikarzem i według medialnych wyobrażeń, jemu mniej wolno.

Piłsudski mało przejmował się złośliwymi wypowiedziami przeciwników o sobie. Przejmowali się tym jego oficerowie. Za zbyt ostrą krytykę kochanego Dziadka połamali oni żebra docentowi uniwersytetu wileńskiego Cywińskiemu, bijąc go do nieprzytomności. Za kąśliwe kalambury o Piłsudskim inni oficerowie wybili oko Adolfowi Nowaczyńskiemu i żeby wiadomość szerzej się rozeszła, zrobili to w teatrze, przy ludziach. Przypadków takich było więcej. Jedną z ofiar oficerskiego poczucia sprawiedliwości był Dołęga-Mostowicz. Niedołęga w fachu dyktatorskim Łukaszenka mnoży młodych bohaterów, którzy przejmą władzę po jego reżimie. A reżim, który skazuje swoich przeciwników na pięć, a nawet na trzy dni więzienia, nie ma przyszłości, a nawet, jak się wydaje, teraźniejszości.

## CHOROBA WŚCIEKŁYCH MEDIÓW

Polska bardzo szybko zbliżyła się do demokracji zachodnich pod względem wad, a nawet je wyprzedziła. W dzisiejszych demokracjach zachodzi w coraz szybszym tempie osłabienie wybieranej przez obywateli władzy politycznej na korzyść władzy sądowniczej, a zwłaszcza tak zwanej (początkowo żartem) czwartej władzy, czyli mediów. Ta czwarta władza nie ponosi żadnej odpowiedzialności politycznej przed obywatelami. Uzależniona jest od właścicieli, którzy żądają, aby przynosiła zyski i czasami, nie zawsze, narzucają orientację polityczną. Możliwość uprawiania własnej polityki stanowi część wynagrodzenia (nie objętego kontraktem) dla osób zajmujących ważne stanowiska w mediach. Jeżeli „Nowe Życie Gospodarcze”, w którym publikuję, osiągnie nakład 500 tysięcy egzemplarzy, na co się nie zanoszi, to zadrżycie przede mną, ministrowie i kardynałowie! To nie będzie monopol, ale wystarczy, żebym wam napędził stracha. Arystoteles wyliczając w swojej „Ekonomicie” różne sposoby zdobywania majątku, wymienia także rabunek. Media targują rozrywkami i uprawiają także bardzo szacowny handel informacjami. Ale znaczna część ich majątku pochodzi z rabunku. Rabunek ten oczywiście jest dokonywany na materiale symbolicznym, jak prawie wszystkie operacje medialne. Media obrabowują władzę demokratyczną z uprzedzeń, jakie były obiecane reprezentantom ludu w okresie walki o republikańską formę rządu. Gdyby lud został z góry powiadomiony, co się stanie z jego władzą (właściwie był, ale nie słuchał), to nie doszłoby ani do licznych francuskich rewolucji, ani do żadnych Wiosen Ludów. Andrzej Sacharow inaczej pokierowałby radziecką dysydencją, gdyby mu przyszło na myśl, że panowie Gusiński i Bierezowski mogliby sięgać po czwartą władzę nad Rosją. Jestem pewien, że Sołżenicyn też tak myśli.

Nie chcę powiedzieć, że władza mediów nie jest demokratyczna. Mimo że nie istnieją procedury pociągania jej do odpowiedzialności przez obywateli, pod pewnym względem jest ona bardziej demokra-



tyczna niż wybrany parlament i kontrolowany rząd. Cóż bardziej demokratycznego, ludowego, plebejskiego niż niechęć do każdego, lewicowego czy prawicowego rządu, niż wyśmiewanie tych, co mają nad nami jakąś, zwłaszcza niedużą władzę, niż puszczanie o nich złośliwych plotek, niż zagładanie im do kieszeni, niż wykpiwanie wszystkich ich pomysłów reformatorskich, jeżeli nie polegają na rozdawaniu pieniędzy za darmo. Wszystko, co robią media zarówno w rozrywce, jak w polityce, jest tak hiperdemokratyczne, że aż hiperplebejskie. Ja nie chcę tego zmienić, ja tylko mówię, jak jest.

Co ja czuję, co ty czujesz, Drogi Czytelniku, gdy widzisz, jak pani Monika albo pan Jacek, albo jakiś inny pan Krzysio sadzają na krzeselku reprezentanta ludu, naszego reprezentanta, i zaczynają go przepytywać, jakby był ich dorastającym i nie bardzo pozbieranym dzieckiem: a nie wstyd ci? a gdzieżeś wtedy był, jak robili (a raczej nie robili) ścieżki zdrowia w Radomiu? znowu podałeś rękę Jędrkowi od Lepperów, przyznaj, że się tego wstydzisz! Albo: co pan tu, panie ministrze, mówi naszym widzom, że jakieś leki staniały, pan Sośnierz mówi, że zdrożały. Nie wstyd panu tak mijać się z prawdą? A pan znowu jest posłem z miasta Łodzi, nie wstyd panu, że tam trupami handlują?

To jest może kontrola władzy, ale kontrola z pozycji niefrasobliwego motłochu. Lud nie o takiej kontroli władzy marzył, kiedy robił swoje Wiosny Ludów. Geremkowi (i paru innym z tej partii) niczego wprawdzie w mediach nie zarzucają, ale biorą go w upupiający cudzysłów za pomocą niestosownych pochlebstw. Praktyka pokazała, że jest to może jeszcze gorsze w skutkach. Czy to dziwne, że w Polsce stuprocentowo wolnej pod względem mówienia, co się chce, nie ma politycznej satyry? Politycy są tak wyśmiewani w audycjach serio, że satyra jest już niemożliwa. Można dodać fizyczny rechot i tylko tyle potrafią dziś satyrycy, tacy dowcipni, zdawało się, w PRL.

Kto czuje w sobie żądzę władzy, mówi Alain Finkielkraut, filozof, a mimo to bystry postrzegacz, nie obiera dziś (we Francji, ale i u nas to będzie) kariery politycznej. Lepiej zaspokoi swoją potrzebę stawiania pod znakiem zapytania innych, a sobie zapewnienia nietykalności, jeśli zostanie dziennikarzem, prokuratorem, a choćby i wydawcą. Dosyć mnie zdziwiło podobieństwo spostrzeżeń jego we Francji i moich w Polsce.

Współczesne Społeczeństwo-Państwo mimo maniakalnego i gorączkowego mówienia o reformach jest w istocie konserwatywne. Z dawnych mitów odnowicielskich i rewolucyjnych pozostało jedynie prymitywne oskarżycielstwo. W nim się wyraża wieczne, naturalne i nieusuwalne niezadowolenie ludzi ze swego statusu i z siebie nawzajem. Nie ma ono kierunku ani znaku ideologicznego. Kampanie oskarżycielskie są objawem choroby wściekłych mediów i kierują się prawie jednakowo przeciw lewicy, prawicy i centrum.

Wola władzy wyraża się na różne sposoby. Gdy równowaga sił w społeczeństwie i łagodne obyczaje nie pozwalają na stosowanie przemocy z użyciem policji i wojska, większej wartości nabiera władza nad umysłami. Dla osób zdolnych do sublimowania swojej woli mocy jest to może jedyny pociągający dziś rodzaj władzy.

Europejskie rządy, będące pod stałym ostrzałem dziennikarskim i nieustannie dziesiątkowane przez oskarżenia prokuratorskie, jakimś cudem pozostają jeszcze na posterunku. Czy potrafią coś więcej niż utrzymywanie w ruchu maszyny biurokratycznej i łagodzenie konfliktów o drugorzędnym znaczeniu? Politycy ograniczeni z jednej strony przez konieczności ekonomiczne, a z drugiej przez kapryśną lub wyrachowaną krytykę mediów, przybierającą często charakter nagonki, nie posiadają już tego zakresu wolności, jaki jest im niezbędny, by mogli ponosić odpowiedzialność za kraj. Za dużo mają do powiedzenia czynniki, które za nic odpowiedzialności nie ponoszą. Trzeba też wspomnieć o Kościele, którego działania coraz dokładniej wpisują się w logikę mediów.

Nie jest moją intencją obrona tych polityków, którzy poddają się biernie dziennikarskim manipulacjom i pokazują społeczeństwu nacośnie, jak wyglądają przedstawiciele ludu, którzy utracili lub nigdy nie mieli morale. Mimo wszystko stanowią oni mniejsze zło. Można ich następnym razem nie wybrać i do tego nawołuję.

P 22 IV 2002

## CZY WARTO BYĆ SOBĄ?

Zapewniają nas, że wstąpienie do Unii Europejskiej nie spowoduje zmiany tożsamości narodowej. Gdyby tak miało być, nie widziałbym dla siebie powodu głosowania za wstąpieniem. Liczę na to, że zmiana tożsamości po jakimś czasie jednak nastąpi. Jeśli Polacy mieliby zachować swoje charakterystyczne cechy składające się na ową tożsamość, to w warunkach, jakie ustaliły się i będą trwały w zjednoczonej Europie, zajęliby ostatnie miejsce, byłiby przedmiotem politywania i lekceważenia. Wydaje mi się niekiedy, że młodsze pokolenia z góry się godzą na najniższy status w Europie, co okazują, przyjmując wzory od środowisk imigranckich, odkulturalnionych w obcym im środowisku, którego wyższych wymagań nie są zdolne spełnić. Może niesłusznie zawężam to spostrzeżenie do młodzieży (która zresztą jest szalenie zróżnicowana). Opowiadano mi o przyjęciu towarzyskim u profesora uniwersytetu. Wyświetlono tam film produkcji niemieckiej nie dość, że mocno szmirowaty, to jeszcze z napisami w języku tureckim. Z pewnością nie dla elity tureckiej był przeznaczony. Raczej dla robotników albo bezrobotnych, którzy dziesięć lub więcej lat temu przybyli do Niemiec z Anatolii i zachowali swoją tożsamość.

Dla Polaka, który nadał się wielką pychę dzięki „Solidarności”, najbardziej szokującą lekturą jest rocznik statystyczny. Jesteśmy jednym z najbardziej zacofanych krajów Europy. Porównywanie się z Hiszpanią, która rzekomo kiedyś była na naszym poziomie, dowodzi tylko nieznaności historii obu krajów. Wyżej od nas stoją Czesi i Słowacy. Litwini w swoim mniemaniu przewyższają nas cywilizacyjnie i gospodarczo. Wszystko wskazuje na to, że w niedługim czasie będzie tak, jak oni już mniemają. Wystarczy, jeśli uwolnią się od swojej nacjonalistycznej i „antykomunistycznej” klasy politycznej, która pod względem głupoty też przewyższa tym razem nasze partie postsolidarnościowe, co wydawało się rzeczą niemożliwą do osiągnięcia. Z czym kojarzy się Polska rosyjskiemu mężczyźnie? Badania opinii wykazały, że z towarami niskiej jakości. Podobne skojarzenia ma też polski mężczyzna. „Dlaczego – pisze Waldemar Kuczyński –